

TAK SIĘ RODZIĄ BOHATERKI

CLAIRE
VIGARELLO



DLA KAŻDEJ BABECZKI,
KTÓRA CHCE
POKOCHAĆ SIEBIE!

ALBATROS

Tytuł oryginału:
OÙ NAISSENT LES HÉROÏNES

Copyright © Éditions Albin Michel – Paris 2022
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Joanna Prądyńska 2024

Redakcja: Anna Walenko

Korekta: Sabina Raczyńska

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Ilustracja na okładce: pikisuperstar/Freepik

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://instagram.com/wydawnictwoalbatros)



ROZDZIAŁ 1

To nie stało się w jeden dzień ani w miesiąc, ani nawet w rok. Dopiero po dłuższym czasie Sylvie zorientowała się, że świat przyczepił jej etykietkę: gruba, nieśmiała, gapowata. Nieinteresująca. Niewidzialna.

Nie było to nieprzyjemne. Czowała się jak podróżny w ciepłym pociągu, podziwiający przez okno widoki. Słuchała, patrzyła... Inni zabierali głos, podejmowali decyzje, angażowali się w różne sprawy, krzyczeli, kłócili się, czasem nawet ostro, a Sylvie robiła notatki, których nie czytała nawet ona sama. Była jak ten żuczek, który o siódmej rano przebierał nóżkami pod oknem firmy Piękna Noc, specjalizującej się w produkcji luksusowych materaców „made in France”, gdzie Sylvie pracowała od sześciu lat. Zwierzątko piło, chodziło, płakało, jadło, ale czy tam było, czy nie...

Trochę walczyła, zwłaszcza w pierwszym okresie. Przywyknąć do niewidzialności jest trudno i wymaga to czasu. Z początku ufnie patrzyła w przyszłość. Wszystko było wciąż możliwe, to tylko nieporozumienie, sprawy się jakoś ułożą. Chciała się z kimś zaprzyjaźnić, podjęła kilka prób przy ekspresie do kawy, rzuciła temat wyboru szkół dla dzieci, weekendów, grilla, związków zawodowych, zaryzykowała parę uwag o nowym szefie, który pojawił się w kwietniu, no i wiecie, te ciastka w stołówce są strasznie tuczące! – samo życie. Powtarzała sobie w myślach cięte riposty, a nawet wpadła na kilka

bardzo, bardzo śmiesznych dowcipów. Tyle że takie olśnienie pojawiało się, dopiero gdy wracała z biura i siadała przed komputerem, wpatrując się w plażę i palmy kokosowe na ekranie. Wśród ludzi nic nie przychodziło jej na myśl, najwyżej skinęła głową, wyszeptając: „tak, tak” lub z porozumiewawczą miną powtórzyła czyjeś ostatnie słowa. Ale przynajmniej była wśród kolegów. Jedynie Nadine, przewodnicząca związków zawodowych, puszczała do niej czasami oko, dodając jej odwagi. Była jej aniołem stróżem, jakby wciąż potwarzala: „Widzę, jak się starasz, Sylvie, nie odpuszczaj!”. I Sylvie nie dawała się, robiła wszystko, żeby nie zniknąć.

Niestety, widziała to tylko Nadine.

*

Przy ostatniej próbie musiała zdobyć się na wyjątkowy, wręcz nadludzki wysiłek. Zobaczyła w korytarzu do stołówki plakat: „Uwaga, kurs! Jak występować publicznie i nabrać pewności siebie”. Zapisanie się zajęło jej dwa tygodnie usilnych przemyśleń i nieustannego bólu brzucha. Gdy wybierała opcję „nie zapisywać się”, wcale nie była spokojniejsza. Próbowwała o tym rozmawiać z mężem, Ninem – byli razem już piętnaście lat – ale musiała uważać: odkąd dwa lata temu zwolniono go dyscyplinarnie z pracy, wciąż był w ponurym nastroju, właściwie miał depresję. Psychiatra zalecał: należy go mobilizować nawet do drobiazgów, jak umycie kubka czy narysowanie gołębia, i nie wolno go stresować. A więc któregoś ranka Sylvie, umalowana, wesola, oznajmiła: „Wiesz, Nino, zapisałam się na kurs publicznego zabierania głosu. Myślę, że to dobry pomysł! Szef mnie namówił, ostatnio jest dla mnie bardzo miły. To mi pomoże w karierze!”.

Mówiła głupstwa. Jej szefowi było wszystko jedno, czy ona w ogóle jest, czy jej nie ma, nie zwróciłby na nią uwagi, nawet gdyby zrobiła kurs życia na Marsie, ale przy Ninie musiała być pozytywna. Nino odpowiedział: „Doskonale!”. Odkąd go zwolnili, to było jego ulubione słowo. „Doskonale” znaczyło wszystko i nic. Mogło zna-

czyć: „Cholera”, ale równie dobrze: „Wspaniale!” albo: „Nie wiem, o co ci chodzi, ostatnio nic nie rozumiem”. I jak każdego ranka przyciągnął ją do siebie za jej oponkę w talii, której nienawidziła, i pocałował w usta. W samochodzie się popłakała, potem wymiotowała w toalecie McDonalda, a w końcu weszła do budynku, w którym odbywał się kurs. Co ona tu robi? Po co zadaje sobie takie męki? Czy jest masochistką? Chciała tylko pogadać przy ekspresie do kawy, tu uśmiech, tam uśmiech, ktoś dotknie jej ramienia i powie: „Miłego dnia, Sylvie, do zobaczenia później!”. To wszystko. Po co robić z tego całe przedstawienie i zapisywać się na jakieś kursy? Trzeba być wariatką, trzeba być nią, Sylvie! Już miała wstać i wyjść, czym prędzej stąd uciec, kiedy pojawił się instruktor z małą czarną teczką, na której widok skóra jej ścierpła. Od razu wiedziała, że to koniec.

*

Męka trwała trzy dni. Sylvie załamywała ręce, popłakiwała po kątach, liczyła godziny.

Musiała jeść posiłki w towarzystwie ludzi, którzy potrafili wywołać uśmiech u pięknych dziewczyn, swobodnie przemawiali publicznie i przyjmowali komplementy jako coś naturalnego. Dlaczego na takie kursy zapisują się osoby, które ich nie potrzebują, a przychodzą tylko po to, żeby później się tym pochwalić? Sylvie zdawała sobie z tego sprawę, instruktor był zakłopotany, a im bardziej był zakłopotany, tym bardziej ona pochylała głowę, wpatrując się we własne stopy, albo mamrotała głupstwa, zaczerwieniona, jakby stała przy płonącym kominku. Ostatniego ranka podszedł do niej, gdy brała z automatu kawę z mlekiem.

– Pani Verbaldi, może pani tego nie spostrzegła, ale co za postępek! Ta rozmowa z Vincentem... Bardzo interesująca!

– Naprawdę?

Faktycznie udało jej się wtrącić kilka „tak” do niekończącego się monologu tego krzykacza. Widocznie instruktor chciał ją za wszelką cenę pochwalić.

– Wykazała się pani wielką odwagą! – dodał. – Mówię szczerze. Zaryzykowała pani, nie każdy by się odważył!

Sylvie czuła, że chciał zakończyć kurs pozytywnym akcentem. Nie musiał.

– Pierwszy raz zrobiłam coś takiego – przyznała – bo publiczne zabieranie głosu zwykle sprawia mi trudność, ale i tak w moim zawodzie to niepotrzebne. Właściwie zapisałam się na ten kurs z ciekawości. Tak czy inaczej, bardzo mi się podobało, dziękuję panu.

Na zakończenie każdy miał własnymi słowami podsumować przebieg kursu, ewentualnie zaproponować jakieś zmiany. Trzeba było wejść na podium, mówić wyraźnie, nie garbić się, stać prosto, patrzeć pewnym wzrokiem. Zaraz miała nadejść jej kolej. Na szyję wystąpiły jej czerwone plamy, zaschło jej w ustach, język stanął kołkiem i nie mogła oddychać, a na widok wszystkich wpatrzonych w nią oczu zakręciło jej się w głowie. To było o ten jeden raz za dużo. Wzięła komórkę, przytknęła ją do ucha. Odczekała dziesięć sekund – liczyła powoli w myślach – po czym wykrzyknęła:

– Och, mój syn miał wypadek, przewrócił się... kolega zostawił mi wiadomość. Muszę lecieć, przykro mi!

– Sylvie, proszę do mnie wieczorem zadzwonić, mam pani coś do powiedzenia! – zawołał instruktor.

Nie odpowiedziała, tylko wypadła z sali – ostatni raz tak biegła chyba w szkole podstawowej, w tych dawnych czasach, gdy cały świat wydawał się wielkim placem zabaw.

*

„Mój syn miał wypadek”. Powiedziała pierwszą rzecz, która jej przyszła na myśl. Przez kilka minut czuła lęk, że niebiosa się zemszczą i ten kolega naprawdę zaraz zadzwoni, ale nie. Jej młodszy syn nie miał żadnego wypadku, starszy zresztą, który właśnie dostał się do liceum, też nie. A kurs się skończył. Nigdy już nie będzie musiała publicznie zabierać głosu.

Dlaczego tak bardzo chciała wyjść poza swoją strefę komfortu?

Po co? Jedni istnieją, żeby mówić, drudzy – żeby słuchać, notować i przytakiwać. Widzowie przecież też są potrzebni, inaczej nie byłoby ani gwiazd, ani szefów, ani dyrektorów, ani polityków... Powinna pogodzić się z losem i siedzieć cicho. Poczwała się tak dobrze, że postanowiła jechać dalej, aż do Bordeaux. Zwykle tam nie jeździła, za daleko, za dużo ludzi, za duży stres, a poza tym nigdy nie miała czasu, ale teraz... no cóż, teraz miała czas. Spacerując uliczkami starego miasta, stanęła przed wielką wystawą i popatrzyła na swoje odbicie. Musi również pogodzić się z tym wyglądem. Musi, absolutnie! Już od dzisiaj. Tak, jest gruba, jeszcze grubsza niż w zeszłym roku, ale pełna twarz wygładza zmarszczki i wygląda się młodziej. Tak, włosy ma cienkie i zaczynają siwieć, ale przecież ma włosy! Tak, ten pieprzyk jest w głupim miejscu, na nosie, ale z boku – gorzej gdyby był na samym czubku! I górna warga jest zbyt cienka, ale niektóre aktorki też mają taką cienką wargę, a mimo to są piękne. Zgoda, nie stać jej, żeby kupić sukienkę idealną do swojej figury, maskującą oponkę w talii i podkreślającą biust, ale może pójść na przeceny dużych rozmiarów, na letnie wyprzedaże, gdzie na pewno uda jej się znaleźć coś wyjątkowego. A najważniejsze: jest zdrowa! Ma doskonałe wyniki analizy krwi, mimo nadwagi nie ma cukrzycy, nie zapowiada się żaden rak, a ona żyje, jest wolna i żyje, podczas gdy inni ciągle są pod bombami, siedzą zamknięci w różnych obozach albo w więzieniu. Jest wolna i może zjeść lody. Poprosiła o trzy kulki z podwójną bitą śmietaną, usiadła na ławce i się rozpląkała.

*

Nie powiedziała nikomu o tym dniu. Po co? Synowie właśnie wrócili ze szkoły, młodszy, jedenastoletni, wyjątkowo podekscytowany. Kilka tygodni temu wbił sobie do głowy, że napisze operę, i znalazł w internecie jakiegoś nauczyciela języka włoskiego – czy też raczej gimnazjalistę Włocha (bo opera musi być, rzecz jasna, napisana po włosku), którego opłacał, dając mu korepetycje z matematyki. Jak to się stało, że urodziła syna z tak bogatą wyobraźnią, skoro sama

była jej pozbawiona? Próbowwała rozmawiać o tym z Ninem. „Każde dziecko jest inne”, uciął krótko. Miał rację. Ale czy przypadkiem Alexis nie był za bardzo inny? Już przeskoczył jedną klasę, zbudował miniaturowy samolot, małego robota, który mówił „tak”, skonstruował fluorescencyjny pendrive, przewidział dokładną datę implozji Ziemi. Nie, to poszło zdecydowanie za daleko i nawet jeśli się z tym kryła, po prostu zaczęła się bać Alexisa. Co do starszego, Maxence’a, piętnastolatka, czuła innego rodzaju lęk – bała się, że jest zbyt podobny do niej. Od trzech lat miał nadwagę, prawie tak jak ona, i coraz trudniej było z niego wydobyć jedno całe zdanie. Sylvie natknęła się przypadkiem na jego pamiętnik, pełen płaczących cytatów i rysunków erotycznych. Czy był na skraju depresji? Czy nie powinna go zapisać na któryś z tych warsztatów dla nastolatków z nadwagą lub na jakiś sport walki albo może przeprowadzić z nim poważną rozmowę w cztery oczy? „Byłem taki sam w jego wieku”, skwitował Nino. Ale jeśli tak, jeśli to było dziedziczne, to jeszcze gorzej: czyżby syn miał iść w ślady ojca?

*

Od chwili, gdy po tym cholernym kursie zaakceptowała swoje miejsce, Sylvie czuła się dużo lepiej. Kiedy nikt nie zwraca na ciebie uwagi, znika presja, czemu więc tego nie wykorzystać? Każdy chyba marzy, żeby nie robić nic poza odebraniem kilku telefonów oraz zjedzeniem czegoś w południe i wieczorem i żeby nikt nie zawracał mu głowy? Sylvie miała to szczęście, ale do tej pory nie potrafiła tego wykorzystać. Zamartwiała się, że szef sam umawia się na spotkania, cały dzień się nie odzywa lub zostawia jej nieczytelną samoprzylepną karteczkę. A niby dlaczego? Gdy rok temu została sekretarką Jeana-Denisa Ledu, dyrektora marketingu, jej obowiązki stopniały jak śnieg w słońcu, ale jeśli się nad tym zastanowić, to była dobra zmiana! Ledu przeniósł prawie wszystkie obowiązki sekretarki na supernowoczesną komórkę, która musiała kosztować co najmniej jej miesięczną pensję. Ta komórka informowała go teraz o spotkaniach,

przekazywała ostatnie wyniki sprzedaży, wysyłała automatyczne odpowiedzi. Poza tym miał w niej mnóstwo aplikacji, dziesięć razy skuteczniejszych od niej. Nigdy ich nie przebije, musi się z tym pogodzić. Nie ma co się przejmować.

Ucisk w żołądku ustąpił. Nie szukała już w popłochu trafnych ripost przy automacie do kawy, nie rozglądała się za kimś sympatycznym, żeby zjeść razem lunch, nie starała się na próżno przyciągnąć uwagi szefa, a nawet przestała rano mówić „dzień dobry” strażnikowi, który i tak jej nie zauważał. Był to wielki krok do przodu, z czego nikt w jej otoczeniu nie zdawał sobie sprawy. Ale nie w tym tkwił problem. Sylvie wypełniała swoje obowiązki tak jak przedtem. Może nawet szybciej i lepiej. Zajmowało jej to dwie godziny, góra dwie godziny pięćdziesiąt minut. Wpadała do działu finansowego, prosiła o najnowsze wyniki sprzedaży ostatniego „oczka w głowie” Ledu, materaca Lys Angel (szczególnie na rynku azjatyckim – Chińczycy wprost uwielbiali ten materac). Czasem rezerwowała dla Ledu stolik w jego ulubionej restauracji Harmonia Smaku na dwunastą trzydziści (Ledu uwielbiał wysiadywać w restauracji). Spławiała wszystkich irytujących nudziarzy, mówiąc, że Ledu jest zajęty, zwłaszcza Conflansa, dyrektora finansowego, który wciąż chciał robić „podsumowania”, a którego Ledu nie cierpiał. Wysyłała mu ostatnie raporty z testów technologicznych materaca Sweet Air, które przebiegała wzrokiem bez zrozumienia, a na koniec zbierała wszystkie możliwe informacje o Jessice Faure, gwiazdzie czwartego sezonu serialu *Believe* (kolejnej ekranizacji słynnego komiksu *Przygody Blake’a i Mortimera*), hitu ostatniego festiwalu w Cannes. Filmy z Jessicą przynosiły mnóstwo forsy. Ledu chciał ją namówić, by została ambasadorką najnowocześniejszego technologicznie materaca Sweet Air, który miał się pojawić na rynku wiosną za dwa lata. Ledu, wbrew wszystkim, życzył sobie Jessiki Faure, i tylko jej. To właśnie Sylvie imponowało: że mierzył wysoko. I również uznała, że to najlepszy wybór. Jessica Faure będzie doskonałą reklamą tego materaca. Wystarczy, że przeturla się po nim z tą swoją miną anioła, a klienci

oszaleją i sprzedaż wystrzeli.

*

Jessica okazała się zbawieniem dla Sylvie. Wyrwała ją z otchłani nudy, wyprowadziła z pustyni czy nawet z kosmicznej pustki, w której za sprawą Ledu ugrzęzła ponad rok temu. Dzięki Jessice Sylvie mogła udawać osobę niezwykle zajętą, która zawzięcie klika myszką, ze wzrokiem wbitym w ekran komputera. Jessica była jej kołem ratunkowym, zwłaszcza od kiedy Ledu zażądał każdego wycinka prasowego na jej temat. Sylvie zapisała się wówczas na wszystkie strony fanów Jessiki, zaczęła obserwować jej Twittera, Facebooka i Instagram, a nawet wykupiła abonament na biuletyn informacyjny galerii sztuki, którą mąż Jessiki prowadził w Nowym Jorku. Mijały miesiące, a zbieranie materiałów o Jessice stało się głównym zajęciem Sylvie. Każdego ranka o jedenastej kładła na biurku Ledu teczkę z przygotowaną dokumentacją. Były tam informacje o jej nowych filmach, wycinki z wywiadów, jej zdjęcia na Instagramie, posty na Facebooku i Twitterze, a nawet zestaw głupich plotek krążących w internecie.

Ledu zwykle nie odrywał wzroku od biurka i nigdy nie dziękował. To była jedna z jego cech: ignorował Sylvie, zachowywał się, jakby nie mógł z nią rozmawiać, mimo że stała naprzeciwko niego. Sylvie się do tego przyzwyczaiła. Mówiła bardzo cicho – było to mniej żenujące, bo zawsze mogła uznać, że nie usłyszał. Czasem, lecz bardzo rzadko, unosił głowę i mówił coś zaskakującego, na przykład: „Czy piła pani kiedyś herbatę Kwitnący Deszcz? W jednej chwili przenosi się pani do Azji!” lub: „Japończycy lubią żyć na modłę zachodnią, ale nie chcą się do tego przyznać” albo: „Dwóch nagich facetów turlających się po materacu... Czy to do pani przemawia?”. Były to właściwie pytania retoryczne, Ledu nie oczekiwał odpowiedzi, rozmawiał sam ze sobą. Bo co do tej herbaty, to kiedy Sylvie zaparzyła mu ją, na dowód że go uważnie słucha, nawet jej nie wypił. Ledu był człowiekiem wyjątkowym, nie do rozszyfrowania

dla osób takich jak ona, pochodzących ze skromnej rodziny, gdzie każdy ma swoje miejsce i nikt nie mówi zagadkami.

Oczywiście były dni lepsze i gorsze. W gorsze Sylvie miotała się jak w klatce, nie mogąc znaleźć sobie nic do roboty. Najtrudniejsze były dni bez Jessiki. Nagle aktorka przestawała wrzucać posty i znikać. W zeszłym roku znikła na dwadzieścia osiem dni. Prawie miesiąc. To długo, bardzo długo, zwłaszcza jeśli trzeba wytrzymać w pracy osiem godzin (plus przerwa na lunch). Sylvie w końcu z nudów zainteresowała się serialem *Believe*, który obejrzała nawet w wersji oryginalnej, po angielsku, bez napisów, żeby ćwiczyć akcent. To mogło się zawsze przydać. Chociaż jeśli spojrzeć realnie, wydawało się raczej niemożliwe, by Jessica Faure ni stąd, ni zowąd umówiła się na spotkanie z Sylvie Verbaldi, sekretarką Jeana-Denisa Ledu, dyrektora marketingu w firmie Piękna Noc, specjalizującej się w zapewnianiu dobrego snu posiadaczom wielkich fortun, a przynajmniej tym, którzy mogli wydać trzy minimalne płace na materac. Było oczywiście bardzo mało prawdopodobne, żeby pani Faure któregoś dnia zjawiała się tutaj, w dzielnicy przemysłowej Joué-la-Tour, sześćdziesiąt kilometrów od Bordeaux, i podpisała kontrakt reklamowy. Chociaż kto wie – bo na przykład domiar z urzędu finansowego mógłby wszystko zmienić.

Prawdę mówiąc, praca Sylvie nie miała sensu, ponieważ dane z księgowości można było przejrzeć w internecie, stolik w restauracji Ledu mógł sobie zarezerwować sam, a Jessica Faure i tak nigdy tu nie przyjedzie. Ale co z tego? To była praca jak każda inna, wcale niemęcząca, a przede wszystkim gwarantowała pensję, której już nie przynosił Nino, to znaczy przynosił, lecz tak małą, że się nie liczyła.

*

Nino nie dość, że nie zarabiał wiele, to na dodatek był bardzo absorbujący. Dzwonił co chwila. Nie może znaleźć piwa, zgubił niesłychanie ważny numer telefonu (sąsiada, który miał wpaść po kosiarkę), zapomniał, co ma kupić, nie może skończyć krzyżówki... wreszcie

powziął ważną decyzję: złoży aplikację do nowej pracy... albo nie, jeszcze za wcześniej, najpierw zrobi ten kurs... szkoda, że dziewczyna, która pracuje w urzędzie zatrudnienia, to kretynka, nie pozwala mu nic powiedzieć, spisała go już na straty... a zresztą do cholery z tym, założy własną firmę jak ich sąsiad, który po całych dniach się obija... albo nie, będzie pracował na czarno ze swoim kumplem Miśkiem na jego nowej budowie, razem wyremontują dom, a potem sprzedadzą go bardzo drogo, z kolosalnym zyskiem, i będą mogli zainwestować na giełdzie... albo jeszcze lepiej, będzie grał na wyścigach, mnóstwo ludzi wygrywa ogromne sumy... chociaż nie, konie to zbyt skomplikowane, po prostu pójdzie na kurs medytacji, nauczy się koncentrować... sport też byłby niezły, bieganie, pół godzinki, potem pływanie, tak, codziennie, wróci do formy i położy krzyżyk na tych dwóch strasznych latach po tym, jak go zwolnili z pracy, tak, trzeba zapamiętać o wszystkim i zacząć od nowa, świeży start!

Tak naprawdę Nino po prostu musiał się wygadać. Siedząc w pracy przy biurku, Sylvie z powagą kiwała głową, udając, że prowadzi niezwykle ważną zawodową rozmowę. Ninowi nie przeszkadzało, że rzadko się odzywała – on sam miał przecież tyle do powiedzenia. Co jakiś czas rzucała ciche: „Tak, rozumiem!” – i to mu wystarczało. Gdy wreszcie strumień jego pomysłów się skończył, Nino czuł się dużo lepiej i odkładał słuchawkę. To zdarzało się dwa lub trzy razy dziennie. Sylvie zawsze odbierała, była na każde jego zawołanie, żeby tylko poprawić mu samopoczucie, bo przecież psychiatra mówił: liczy się nie wynik, ale chęć osiągnięcia wyniku. Nino musiał znaleźć w sobie taką chęć.

*

Dzisiejszy Nino nie miał nic wspólnego z tym dawnym. Sylvie wyszła za męża za faceta, który zajmował się dziećmi, grał z nimi w piłkę, zabierał na basen, często wychodził z kumplami na drinka, domagał się seksu po południu, uważał ją za piękną mimo jej nadwagi, wciąż powtarzał: „Nie martw się, wszystko będzie dobrze!”

nie pozwalał jej się przejmować tym, co powiedzą inni, i mówił, żeby robiła swoje. Ten oto silny i pewny siebie mężczyzna padł dwa lata temu, piątego maja 2012 roku, i od tego czasu się nie podniósł.

Sylvie dobrze to pamiętała. Zadzwoił do niej do pracy. Była jedenaasta, właśnie wracała z księgowości. Najpierw nic nie rozumiała. Oprócz głosu jękającego się męża słyszała w tle szczekanie psów i wrzaski jakiejś kobiety. Nino od dziesięciu lat pracował w Simexie, wielkiej firmie farmaceutycznej. Był przedstawicielem handlowym całej gamy produktów, które znał od podszewki (środki zmniejszające apetyt dla psów, suplementy witaminowe, feromony dla kotów, obroże przeciwkleszczowe, leki na wzmocnienie kości, leki zapobiegające chorobie zwyrodnieniowej stawów...). Rozdawał próbki wszystkim właścicielom czworonogów, wychwalał dobre strony odkrytej ostatnio cząsteczki mającej zwalczyć reumatyzm, który tak dokuczał starszym zwierzętom. Był niestety często w terenie, ale miał dobre wyniki – zwłaszcza suplementy diety sprzedawały się doskonale. Potem firma została wykupiona przez Amerykanów, którzy chcieli uczynić ją najlepszą na świecie i karmić swoimi produktami wszystkie psy na ziemi. Nino zresztą mówił, że od krachu giełdowego w 2008 roku psy stały się bardzo popularne. Kto nie osądza swego pana, który wszystko stracił? Oczywiście pies. Pies was kocha zawsze tak samo, nawet jeśli wpadliście w długi i zwolnili was z roboty. Ludzie bardzo potrzebowali psów.

Krótko mówiąc, Simex, amerykańska międzynarodowa korporacja, chciała się rozrosnąć.

Żeby osiągnąć ten cel, musiała się zmniejszyć. Może brak w tym logiki, ale tak było. Nino widział, jak zwalniana jego najbliższych kolegów. Musiał teraz wyjeżdżać w dłuższe trasy, odwiedzać więcej gabinetów weterynaryjnych, głaskać więcej psów, kotów i chomików, a była nawet papuga (miała uporczywy bronchit i jej pan dosłownie wypruwał sobie flaki, żeby ją wyleczyć). Wracał do domu coraz później i coraz bardziej zmęczony. Nie skarżył się jednak. Przynajmniej ma pracę, postara się, żeby nie można było mu niczego zarzucić, i

będzie dobrze.

Aż któregoś dnia wszystko się zawaliło. Nino udał się do nowego gabinetu weterynaryjnego w eleganckiej dzielnicy Bordeaux, by zaproponować nowości z gamy Ortex (były to suplementy żywieniowe dla psów, cieszące się wielkim powodzeniem). Siedział w poczekalni, a młody weterynarz miał go zaraz przyjąć, kiedy weszła jakaś starsza pani ze spanielem king charles na smyczy. Jaki piękny pies, pewnie bierze udział w konkursach! – pomyślał Nino. Chwilę potem zwierzak wyszczerzył kły. Nino uśmiechnął się, by pokazać, że się nie boi. „Ulisses, nie!”, wykrzyknęła kobieta i dała psu lekkiego klapsa, a wtedy zwierzak wystrzelił jak z procy. Na temat dalszego ciągu są różne wersje. Według Nina pies skoczył na niego, więc on gwałtownie odepchnął go walizeczką ze strachu, że zwierzak go ugryzie. Według właścicielki pies chciał się po prostu pobawić, a Nino, kompletny wariat, zabił jej pieszczołka. Ponieważ tak, pies nie żył (wpadł na doskonały pomysł, żeby uderzyć łbem w kontuar, na którym stały torby z dietetycznymi chrupkami). Nie było świadków, istniały tylko te dwie wersje. Simex wybrał wersję starszej pani i doszukał się niedociągnięć w pracy Nina: brak dobrych wyników finansowych i zła wola. W rezultacie Nino wyleciał z firmy i zaczął się zmieniać, aż wreszcie stał się tym przeczulonym, załęcznionym i zestresowanym mężczyzną, którego Sylvie nie знаła.

*

Ta zmiana nie nastąpiła od razu. Najpierw Nino z tysiąc razy opowiedział o wypadku z king charlesem każdemu, kto tylko chciał go słuchać: jak patrzyła na niego właścicielka, jak pies się ślinił, jaka śliska była posadzka w poczekalni, jak wielkie kły miał pies, jaka mała była jego, Nina, walizeczka, jak brudny był kontuar, jak niechlujny weterynarz i wreszcie jak nadjechało pogotowie ratunkowe (starsza pani zasłabła). Nino szukał jakiegoś niezbitego dowodu na to, że wypadek zdarzył się nie z jego winy, a on nie jest żadnym zbrodniarzem. To trwało kilka miesięcy, chciał nawet podać Simex do sądu

i żądać odszkodowania. Adwokat go uprzedził, że będzie to trwało bardzo długo, ale Nino się nie zniechęcił. Zaczął zbierać materiały obciążające firmę i uznał, że to był spisek. Zwolniono go wcale nie z powodu tej historii z psem, ale dlatego, że krytykował Ortex, nowy suplement diety, według niego bezużyteczny, zwykle mydlenie oczu, a nawet gorzej! Był to produkt z pewnością szkodliwy. Nino wykazał się odwagą, popierając weterynarzy, którzy zaobserwowali lekki stres u psów przyjmujących tę nowość. Firmie się to nie spodobało i dobrali się do niego, a za pretekst posłużył tamten wypadek.

Ale tak naprawdę dlaczego king charles rzucił się na niego? Nino szybko doszedł do wniosku, że to zapach pastylek Ortex, które miał w walizce, sprawił, że pies dostał ataku szału. Zaczął szukać potwierdzenia u właścicieli psów, którzy podawali swoim pupilom ten silnie uzależniający suplement, i faktycznie znalazł kilka takich przypadków.

Któregoś wieczoru Sylvie zobaczyła go ubranego od stóp do głów na czarno. Wybierał się do głównej siedziby Simexu, do stolicy. Przywiąże się do ogrodzenia, zacznie strajk głodowy, zawiadomi media, zwoła psy z całej Francji, żeby się zbiegły i nienawistnie obszczekały firmę. Sylvie wsadziła go do samochodu. Nino zapalił papierosa, pierwszego od ponad dziesięciu lat. A kiedy skończył palić, odwiozła go na pogotowie psychiatryczne.

Nino się wypalił – tak jak i jego papieros.

*

Gdzie ukrywała się Charlotte przez te dwa lata, które minęły od czasu, gdy Nino stracił pracę? Czy była już tam, przyczajona, w zakątku jej głowy? Może tak, może już czekała.

Dziewiątego maja 2014 roku w firmie Piękna Noc panowało ogromne poruszenie. Strażnik, zwykle obojętny, uprzedził Sylvie, że drzwi się zacięły, a on czeka na ślusarza. Można wejść z drugiej strony. Normalnie by stał i patrzył, jak ona szarpie się z zamkiem. A tu proszę, okazał się ludzki. Po raz pierwszy poczuła dla niego

współczucie. Może był sympatyczny, przecież to męczące, cały dzień pilnować tych drzwi. Podziękowała mu z uśmiechem i weszła z drugiej strony. W holu był tłum. Ludzie spacerowali, komentowali, chichotali. Sylvie spojrzała w górę. Nad recepcją zobaczyła wielkie rusztowanie, na którym, trzy metry nad ziemią, stały cztery osoby, trzymając ogromne płótno. Sylvie od razu je rozpoznała, *Zachód słońca na Marsie*, obraz Édouarda Lessinga, wielkiego malarza, którego Ledu uwielbiał. Dokładnie od dwóch lat zabiegał o ten obraz, żeby powiesić go w holu. „Piękna Noc nie sprzedaje materacy, sprzedaje spadające gwiazdy, Blaszane Dzwoneczki, latające dywany... – mawiał. – Piękna Noc to brama wychodząca na Drogę Mleczną!” Ledu nie bał się poezji. I wygrał, po miesiącach walk, mimo ogromnej ceny obrazu, którego wartość jego przeciwnicy podawali w wątpliwość, uważając, że tych kilka kolorowych plam mógł rzucić na płótno każdy dwunastolatek na lekcjach rysunku. A więc *Zachód słońca na Marsie* będzie dumnie wisiał w wielkim holu, witając gości.

Geniusz Ledu nie miał granic. Sylvie poczuła dumę. Ledu był jej szefem, jej bossem, i szczęście go nie opuszczało. Nikt nie mógł mu się oprzeć. Teraz wszystko było możliwe, nawet wizyta Jessiki Faure.

*

Sylvie czekała przy ekspresie do kawy. Chciała publicznie wyrazić swój podziw, ale nikt nie przystanął. Wzięła drugą dużą kawę bez cukru, żeby się poczuć pewniej. Ekspres zagwizdał. Kawa była gotowa. Wciąż nikogo. Czy powinna pogratulować Ledu? Zapukać do jego pokoju? Czy zostawić liścik? Dlaczego jej o tym nie uprzedził? *Zachód słońca na Marsie* był jeszcze piękniejszy w rzeczywistości niż na reprodukcjach. Z pewnością to wielkie dzieło, za kilka lat będzie warte miliony euro, a tu proszę, Ledu pozyskał je na własność. Sylvie zrobiła kilka kroków wokół lady zamontowanej przy ekspresie do kawy, gdy zjawiała się Nadine, przewodnicząca związków zawodowych. Ufff, wreszcie ktoś, z kim będzie można zamienić kilka słów, może nawet poartować, odprężyć się! Ale Nadine nie

dała jej żadnej szansy.

– Cześć, ślicznotko, rusz się! Czekamy na HLP. Wyleczył się z tego raka i przyjeżdża z wizytą. Wiesz, jaki on jest, lubi widzieć, że każdy siedzi na swoim miejscu i ciężko pracuje. W ten sposób ma wrażenie, że fabryka działa na całego, a on sam w każdej minucie zarabia mnóstwo forsy. Podobno bardzo polubił Ledu, z pewnością do niego wpadnie, więc radzę ci przygotować kawę.

Sylvie pognąła z powrotem do swojego działu. Wyciągnęła z szafy maszynkę do kawy Nespresso i kapsułki we wszystkich kolorach (Ledu nie pił tej kawy, ale lubił częstować nią gości). HLP będzie miał z czego wybierać. Powinna mu zaprezentować wszystkie smaki, ale nie wolno jej się czerwienić ani jąkać. Czy da radę? Ledu otworzył drzwi i obrzucił ją wzrokiem od stóp do głów, jakby widział ją pierwszy raz.

– Ach, to pani! – rzucił. – Znakomicie. Czekam na ważnego gościa. Kiedy przyjdzie, zaanonsuje mi go pani, otworzy drzwi i zaproponuje kawę. Potem wróci pani na swoje miejsce. Wielcy ludzie lubią, gdy sprawy są nieskomplikowane, rozumie pani?

– Tak, proszę pana, rozumiem. Gratuluję *Zachodu słońca na Marsie*, to bardzo piękny obraz.

– Nie, to nie jest piękny obraz, to zupełnie coś innego. Ale ludzie i tak nic nie pojmują.

Sylvie nie wiedziała, co odpowiedzieć, sprawa się komplikowała. Powtórzyła w myślach wszystkie nazwy kapsulek: Mocne Volupto, Karmel, Mleczny Kwiat, Macchiato, Smak Brazylii, Gorycz Słodkiego Migdała. Ręce jej się trzęsły. HLP, czyli Henri Lecoœur-Paturel, był Wielkim Szefem, ich panem, synem założyciela firmy Piękna Noc. To on rozwinął mały zakład ojca i zmienił go w światową potęgę materacy. I oto teraz, po owianych tajemnicą latach nieobecności, za chwilę tu wejdzie.

Sięgnęła po filizanki. Przewróciły się, więc zaczęła je z powrotem ustawiać, i właśnie wtedy w drzwiach pojawił się starszy pan. Był niewiele wyższy od niej, miał pomarszczone czoło i zapadnięte

oczy. W ręce trzymał laskę. Wyglądał jak ze starego filmu, z tych, co to idą bardzo późno i nigdy nie udaje jej się obejrzeć ich do końca. Był w towarzystwie wysokiej rudej piękności, którą firma zatrudniła stosunkowo niedawno, i Sylvie często widywała ją obleganą w stolówce.

– Dzień dobry, Sylvie, pan Lecoeur-Paturel chciałby zamienić dwa słowa z panem Ledu – usłyszała jej głos.

Nie odpowiedziała na powitanie, tylko szybko podbiegła do drzwi gabinetu szefa i je otworzyła.

– Już jest! – oznajmiła.

Było to naprawdę niegrzeczne. Nie powinna się tak spieszyć. Wyrecytowała kilka nazw kapsulek z kawą, tych, które zapamiętała – wszystko jej się pomieszało – ale na szczęście HLP kawy nie chciał. Wprowadziła go do gabinetu Ledu i wróciła do swojego biurka, by udawać, że sporządza jakiś bardzo ważny dokument. HLP nie powinien mieć żadnych wątpliwości co do jej pracowitości i zaangażowania. Przez godzinę pisała wszystko, co jej przyszło na myśl. Kiedy w końcu wielki guru wyszedł, pobiegła zwymiotować do toalety.

Tak narodziła się Charlotte.

*

Kiedy sprawy wokół nabierały nieznośnego tempa, Sylvie uciekała do Mireille. Trzy krótkie puknięcia w drzwi i słyszała: „Prooosz!” – albo też nic nie słyszała, ale i tak wchodziła. Miała klucze. Mireille ją uprzedziła: „Jeśli nie odpowiadam, to albo śpię, albo umarłam, więc wchodź. Jeśli umarłam, nie wolno ci krzyczeć, sąsiedzi byliby zbyt zadowoleni”. Mireille spokojnie dobiegała siedemdziesięciu dziewięciu lat. Niewiele osób darzyła sympatią, ale Sylvie lubiła. Dlaczego akurat ją? A nie kogoś innego? Może po prostu dlatego, że Sylvie mieszkała tuż obok, nie zadawała zbędnych pytań i chętnie wykonywała niewdzięczne prace, na przykład robiła kotom cukrzykom zastrzyki z insuliny i kupowała dla nich cielęcinę u rzeźnika.

– Mireille, jestem!

– Masz żarcie dla kotów? Są głodne.

Sylvie zupełnie o tym zapomniała.

– Nie, nie mam, zaraz pójde kupić... Może jeszcze coś?

– Tak, zabrakło papieru do wycierania dupy.

Mireille lubiła być wulgarna i lubiła powtarzać, że jest stara i głucha i że zaraz dostanie ataku serca. Natomiast nie znosiła litości. Uważała, że niczego nie należy traktować zbyt poważnie, bo wszystko ma swój koniec.

– Mireille, mogę przysiąc na pięć minut? Kręci mi się w głowie, przez cały dzień miałam taki młyn...

– No pewnie, chodź do kuchni.

Mireille wyjmowała pierwszy lepszy syrop owocowy, wlewała trochę do szklanki i dopełniała ją wodą. Sylvie wypijała to bez protestu, nawet jeśli jej nie smakowało. Bładoniebieskie oczy Mireille czasami, w zależności od światła, przybierały szarą barwę. Zmarszczki skupiły jej się wokół ust, natomiast policzki miała całkiem gładkie. We włosach błyszcząły jeszcze kasztanowe pasma. Nosiła sukienki w geometryczne wzory, mówiąc, że są to wspomnienia, z którymi nie chce się rozstać. Tak jak Sylvie była gruba, Mireille była chudziutka. Sylvie nigdy nie widziała, żeby Mireille zjadła wszystko z talerza. Zastanawiała się zresztą, co ona w ogóle je, bo jej lodówka zawsze świeciła pustkami – było tam najwyżej kilka jogurtów, przekrojona na pół cytryna i resztkę psującej się gruszki na talerzyku. Za młodu Mireille była naprawdę ładna (Sylvie widziała zdjęcia), ale uparcie nie chciała tego przyznać. „No tak, oczywiście, przede wszystkim byłam młoda. Za młodu jest się mniej brzydkim, a potem jesteś, jaka jesteś”. Nie lubiła, żeby jej się sprzeciwiać, rzadko mówiła o przeszłości, jeszcze mniej o swoim mężu, który zmarł przed dwudziestu laty. Czasami wpadał do niej syn – to był jedyny jej gość. Mireille uważała go za nudziarza. Co niedziela dzwonił i wypytywał ją, czy odżywia się, jak należy, czy dobrze śpi, czy mierzy sobie ciśnienie, czy badała krew, a przede wszystkim kiedy przeniesie się do Bordeaux. Z góry wiedział, co odpowie, ale to nie przeszkadzało mu

nalegać. Któregoś dnia Mireille po prostu podała słuchawkę Sylvie.

– Powiedz mu, że nigdy tam nie przyjadę i niech przestanie wydzwaniać, mam dość tego bęcwała!

Sylvie musiała improwizować.

– Eee... pana mama była ostatnio trochę zmęczona, ale już wszystko dobrze. Zadzwoń do pana wieczorem. Posiedzę z nią trochę, proszę się nie martwić.

Jak było do przewidzenia, syn natychmiast przyjechał, a Mireille ostro zrugła Sylvie. To było niesprawiedliwe. Sylvie przez parę dni jej nie odwiedzała, a potem któregoś wieczoru Mireille zadzwoniła do jej drzwi, trzymając na rękach kota. Zwierzę jest chore i trzeba je zawieźć do weterynarza. Okazało się to nieprawdą, kot był w znakomitej formie. Ale taka była Mireille – zbyt dumna, żeby przeproszać.

Nino nie rozumiał, co Sylvie w niej widzi. „Nie myślisz, że ona cię trochę wykorzystuje? Mogłaby sama pójść do mięsnego, przecież zupełnie nieźle się porusza!” Sylvie go uspokajała, że jej to wcale nie przeszkadza. Chętnie pomoże sąsiadce, w końcu Mireille pomagała Maxowi, kiedy wciąż się mylił w odmianie czasowników, a także Alexisowi – gdy przeskoczył pierwszą klasę szkoły podstawowej, przerobiła z nim cały program drugiej klasy. Bo Mireille Chantrel przez wiele lat była nauczycielką, między innymi w liceum w Joué-la-Tour. Kiedy wychodziła na zakupy, jacyś ogromni czterdziestoletni faceci ściskali jej dłonie, zwracając się do niej z szacunkiem „pani profesor”. Wciąż byli onieśmieleni. Jedni łapali za jej wózek i zaczęli pchać, drudzy przedstawiali jej swoje dzieci, jeszcze inni zaczęli opowiadać, jak im się wiedzie zawodowo (zwłaszcza były nieuki). Mireille często wymawiała się wiekiem lub mówiła, że spieszy się do kardiologa, byle tylko się od nich uwolnić.

*

Od czasu, gdy Nina zwolniono z pracy, od tego ataku, pogotowia i tak dalej, Sylvie czekała, aż wszyscy w domu zasną (zwłaszcza odurzony środkami uspokajającymi Nino), i dopiero wtedy szła do

Mireille.

Oglądały razem seriale, przeskakując z kanału na kanał. Mireille o nic nie pytała – ani dlaczego Sylvie wpadła, ani o męża. „Ach, już jesteś! – mówiła po prostu. – Zobacz, jak on fatalnie gra! A ta żyrafa mogłaby przestać ciągle się uśmiechać! Przecież ona chyba nie rozumie tekstu, który wypowiada!” Tylko raz Sylvie nawiązała do swoich kłopotów. Mireille wysłuchiwała jej w milczeniu, a potem oznajmiła:

– Nie ma co liczyć na mężczyzn. Żaden nie wytrzyma. Żyj samodzielnie! – Po czym zmieniła kanał i przysnęła.

Przysypiała coraz częściej, zupełnie niespodziewanie. To z powodu wieku. Sylvie wyłączała wtedy telewizor i siedząc w ciemnościach, słuchała jej chrapania. Czasem cicho płakała. Nie ze smutku, tylko po prostu otwierała nieco zawór bezpieczeństwa i wypływał z niej nadmiar emocji. Potem zawsze czuła się lepiej. Zresztą cóż mogło jej grozić w tym starym domku, gdy tu siedziała, pośród kotów leżących na haftowanych poduszkach i mruczących cicho, z lodówką, która co dwadzieścia minut warczała jak zdezelowany silnik?

Ostatnio w Nina wstąpiło trochę energii. Gdy była już pora na spanie, gorączkowo zaczynał klikać myszką komputera, co nigdy nie zapowiadało nic dobrego, bo był to znak, że znów szuka drogi, żeby zaskarżyć Simex. Nie zwracał uwagi na to, że ona płacze, że jest zmęczona, że do rozpacz doprowadza ją nadmierna tusza. Raz nie wytrzymała.

– Posłuchaj, Nino, mam już dość tego całego Simexu, nie chcę o nim więcej słyszeć! – Było to bardzo późno wieczorem, bo też przysnęła u Mireille i nie myślała jasno. – Zrozum, że ja również jestem wykończona... Niedługo resztki twojej żony rozpadną się w proch, słyszysz?

Nino się nie zdenerwował, nie zaczął wykrzykiwać, że to niesprawiedliwe, tylko podszedł do niej blisko i mocno ucisnął jej dłoń. Poczowała, że jego palce są mokre od łez. Zaczął ją całować i całował ją długo, pieszcząc jej piersi. W ciągu tych chwil zaprowadził ją całe lata wstecz, na sam początek, kiedy jeszcze miał trochę

włosów na głowie i tak często się uśmiechał. Prawdziwy Nino był niedaleko, na pewno wróci.

*

Joué-la-Tour nie było wsią ani też wioską, ani dużym miastem, ani miejscem turystycznym. Chociaż... Na rynku stała wieża, ogromna budowla, która przetrwała wieki, przetrzymując wojny, zarazę i głód, i ocalała, gdy podczas rewolucji spalono średniowieczny zamek. Niektórzy byli zainteresowani i przyjeżdżali ją obejrzeć. Figurowała w przewodnikach, zawsze z jedną gwiazdką, nigdy z dwiema, co oznaczało: „Wpadnijcie tu, jeśli znajdziecie czas, ale nie ma sensu nadkładać drogi”. Sylvie mieszkała na osiedlu w rejonie przedmieść. Z okna widziała czubek wieży, a gdy było pogodnie, mogła dostrzec sylwetki nielicznych turystów, ze szczytu podziwiających widok. Wieża pozostawała obojętna na to, że ktoś wyleciał z pracy, że zmienił się dyrektor, że Ledu znów wyjechał, że Max przynosi ze szkoły złe stopnie i że uparcie milczy. Wieża patrzyła na wszystko niewzruszenie, jakby oznajmiając: „Będę tu stała, gdy was już nie będzie, więc możecie się nawet pozabijać, co mnie to obchodzi!”.

Dlaczego Sylvie tu mieszkała? Dlaczego wybrała akurat to miasteczko? Zwykły zbieg okoliczności. Była w siódmym miesiącu ciąży z Maxem, gdy wraz z Ninem pojechali w pewien upalny lipcowy dzień do supermarketu, by kupić przeceniony wózek. W drodze powrotnej poprosiła Nina, żeby się zatrzymał. „Zaparkuj byle gdzie, strasznie chce mi się siku!” Skierowali się do dużej kawiarni naprzeciwko wieży. Wtedy zauważyli tuż przed sobą wielką tablicę z ogłoszeniem: „Dom jednorodzinny w pobliżu sklepów”. Obok widniało zdjęcie uśmiechniętej rodziny. Kobieta była w ciąży, tak jak Sylvie, ale w przeciwieństwie do niej, najwyraźniej nie przytyła ani grama. Trzymała za rękę dziewczynkę. Wyglądało to jak z amerykańskiego serialu: zgodna rodzina pozująca przed ukwieconym domem. Sylvie długo patrzyła na ogłoszenie. Wyobraziła sobie siebie szczupłą jak tamta kobieta, z niemowlakiem na rękę krzątającą się po domu, w

zimowe wieczory przeglądając pisma przy wielkim oknie, a w letnie przyjmując przyjaciół na drinka.

Niestety, ich dom nie był tak piękny jak ten na plakacie. Został zbudowany w pośpiechu i wkrótce wyszły na jaw wszelkie usterki. Najpierw trzeba było naprawić dach i porządnie ułożyć dachówki, które zwiewał silniejszy wiatr, potem okazało się, że należy wymienić okna, bo przez nie wieje, no i wszędzie wszystko ciekło. Hydraulik rwał włosy z głowy, wydali majątek, musieli nawet zlikwidować jedną łazienkę.

Gdy Nina zwolniono z pracy, oznajmił: „W porządku, teraz wreszcie mam czas, wszystko ponaprawiam! Wystarczy zajrzeć do internetu. Dość już tych kretyńskich hydraulików!”. Przez tydzień pracował bez przerwy, zaczął demontować (z Miśkiem, przyjacielem z dzieciństwa) wannę, sedes i umywalkę, które złożyli w garażu, ale na tym się skończyło. Kiedy Sylvie zaniepokoiła się, co dalej, zapewnił ją, że niedługo skończy, to kwestia kilku dni, czeka na promocję w internecie (żeby wymienić wannę). Gdy zasugerowała, by poszukać nowego hydraulika, zaczął wrzeszczeć, że ona w niego nie wierzy, nikt już w niego nie wierzy, a przecież on potrzebuje tylko trochę czasu, żeby przeanalizować problem, że może nie ma dyplomu hydraulika, ale jak już wszystko sobie obmyśli, zaoszczędzi całej rodzinie tysiące euro i będą wygrani. Sylvie nie protestowała, ze strachu, że Nino znów zachoruje.

*

Wieża nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Gdy tylko się wprowadzili, matka przypomniała jej całą historię. Sylvie знаła wieżę, bo w wieku sześciu lat zwiedzała ją z całą rodziną, gdy przyjechali tu w którąś niedzielę specjalnie w tym celu. Starła się teraz odtworzyć to w pamięci, ale się nie udało. Matka raczej nie plotła głupstw. Po co by miała zmyślać coś podobnego: talerz frytek zjedzony w kafejce naprzeciwno, lody waniliowo-truskawkowe, które topiąc się, pobrudziły jej T-shirt, to, że ściagała się z wróblami, że zanurzyła

ręce w zimnej wodzie fontanny? Po lunchu ojciec postanowił pokonać dziewięćdziesiąt dziewięć stopni prowadzących na szczyt wieży. Matka powiedziała: „Zaczekam tu z Sylvie, jest za gorąco!”. Ale Sylvie uparła się, żeby iść z ojcem, nie chciała go puścić.

Matce niezwykle podobał się ten zbieg okoliczności. „To nadzwyczajne, że zamieszkałaś w pobliżu tej wieży! To nie przypadek, Sylvie, to podświadomy hołd, który oddajesz ojcu”. Ojciec zmarł, gdy Sylvie miała dwadzieścia lat. Sylvie nie wierzyła w duchy. Jednak rok po przeprowadzce do nowego mieszkania wykupiła bilet za dwa i pół euro i weszła na wieżę po tych dziewięćdziesięciu dziewięciu stopniach. Z powodu nadwagi było jej bardzo ciężko. Co trochę przystawała. Jakże jej przeszkadzał ten zbędny tłuszcz! Na górze wydało jej się, że widzi swój dom. Zrobiła zdjęcie. Dom był maleńkim punktem wśród innych maleńkich punktów. Wieża miała rację: byli tylko ziarenkami piasku, które wkrótce znikną na wieczność. Wiatr rozwiewał jej włosy. I nagle wspomnienia wróciły: gdy stała tu wtedy z ojcem, też był wiatr, pamiętała silne podmuchy, włosy uderzały ją w policzki, broda ojca kłuła, kiedy ją pocałował i pochwalił, że dała radę wejść na samą górę. Ojciec ją kochał, kochał tę sześciolletnią dziewczynkę. Co pomyślałby na widok dorosłej kobiety, jaką się stała?

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).